

Za chwilę były już nożyczki i nierówna, komsmykowata broda nabrała innych kształtów.

— Widzę, że mam talent fryzjerski, spójrzcie w lustro... mało wam brakuje do piękności Don Juana, brodę macie już w każdym razie.

— Godzina szósta! — zawołał Walczak, patrząc na zegarek — spóźnię się!

— Jeszcze czterdzieści minut... Bogowie! Co za kołnierzyk!? Jaka krawatka?! Młodzieńcze, ty nie jesteś Petroniuszem!... Ubierajcie się we futro... ostrożnie, bo zepsujecie mój opatrunek! Po drodze kupimy kołnierzyk i krawatkę, a na dworcu ubierzecie się.

— Jakto, odprowadzacie mnie?

— Panów we futrach z bobrowym kołnierzem, co zawsze Paweł podkreśla, musi zawsze ktoś odprowadzać... A kuferek macie przygotowany?

— Zawsze gotów — uśmiechnął się. — Trochę bielizny, stare ubranie...

— Weźcież i angiel, jedyna rzecz, świadcząca o was korzystnie.

— No, jedźmy — wziął w rękę kuferek i poczuł, że w jednym miejscu pękł szpagat — wiecie, sznurek przerwał się.

— Gdzie?

— Z boku prawego.

— To nic... przytrzyma koszula.

W opalonym wagonie było kilka osób. Walczaka grzały papiery, ciężkie futro i ciepło w wagonie. Poty były na niego, a ponieważ wagon był starego systemu, bez kurytarza, miał chwilami wrażenie, że bliskim jest uduszenia. Po półgodzinnej podróży odważył się zrzucić futro.

W Granicy, po oddaniu paszportu, gdy wychodził z wagonu, na zgiętej nodze pękł sznurek i czuł, że kilka broszur ze szlestem opuściły się w dół.

Stąpił ostrożnie, posuwając nogi według wskazań medyka, ale mimo tego czuł obluźnienie sznurowadeł, a broszury groziły osunięciem się na dół, co mógłby ktoś przypisać obrzęknięciu się nogi, ale żandarmi i artielscy z komory będą to uważali za kryjówkę kontrabandy.

Lecz wrócić się było niemożliwym i spocony, przerażony możliwością odkrycia, dowlókł się do sali rewizyjnej.

Stał przed ladą, na której leżał jego kuferek i tak był zajęty uwagą, czy nie osuwają się książki, iż nie zauważył urzędnika cłowego przed sobą, dopiero zbudził go surowy głos:

— Otwórz pan!

Sięgnął za szybko do kieszeni i przy tym gwałtownym ruchu pękł szpagat na ramieniu. Podejrzliwie, z pod oka, spojrzął na urzędnika, który zniecierpliwiony zawołał:

— Gdzie klucz?

Wyciągnął i nie ufając sobie, czy nie zadrży mu ręka, oddał klucz artielczykowi. Urzędnik począł przeglądać wyjmowane przez artielczyka rzeczy, a Walczak zastanawiał się, co będzie, gdy książki zesną mu się z piersi niżej i wydmą w nienaturalny sposób jeden jego bok.

— Czy więcej nie pan nie ma?

— To wszystko.

Zdawało się Walczakowi, że urzędnik zmierzył go podejrzliwie, lecz nie pociągnęło to za sobą żadnej dalszej rewizji i kartka uwalniająca została przyklejona do kufierka.

Teraz sztuka, pomyślał Walczak, wyjść ze sali, aby nie obudzić podejrzeń. Spróbował zwolna kilka kroków i zdawało mu się, że drzwi wyjściowe są bardzo, bardzo dalekie i z goryczą pomyślał o złośliwej chytrłości celników, którzy na udzielenie podróży urzędują w tak niemiłosiernie długich salach.

Artielczyk przeskoczył ladę i wzięwszy kuferek, zachęcał:

— Chodźmy, panie!

Dobryś... tobie łatwo, ale mnie?! Rozejrzał się w około, dostrzegł, że ci i owi z dozorców celnych, ustawionych w sali przy oknach, patrzą na niego. Pod tym wrażeniem przyspieszył kroku i poczuł usunięcie się książek po nodze. To zamiast przeobrażenia, wywołało głuchy gniew, najpierw na medyka, że tak słabo bandażował, a wkrótce kłął w duchu Moskali, rewizję i cały świat.

— Będzie, co będzie — mruknął z pasją i szedł śmiało naprzód.

Wtem dostrzegł dwóch dozorców przy drzwiach wyjściowych, którzy przepuszczali poszczególnie pasażerów.

— No, jak tu nie utonę, jestem uratowany.

Stał przed nimi, gdyż na jego szarym kufierku nie mogli doszukać kartki rewizyjnej. Dwaj dozorczy zaczęli się spierać z artielczykiem, przysięgającym, że kartka była i jest gdzieś. To zwróciło uwagę bliższych i dalszych, a Walczakowi zdało się, iż lada chwila ktoś dotknie się przypadkiem jego nóg, poczuje pod dotknięciem książki, zobaczy nienaturalne zgrubienie i wszystko się wyda.

Nareszcie znaleziono kartkę i Walczak wszedł w długi kurytarz, po którym kręcili się dozorczy cłowi, żandarmi, posługacze.

Oddawszy kuferek, szedł zwolna, tuląc futro do siebie, aby nie osunęły się książki z boku.

Odetchnął dopiero w sali restauracyjnej, gdy usiadł przy najbliższym stoliku. Spojrzął na zegarek, było trzydzieści pięć minut na dziesiątą, a po ciagu odchodzi o pierwszej w nocy. Westchnął z głęboką litością nad sobą, że tyle godzin musi przesiedzieć nieruchomo we futrze i w piękącym futerale książek.

Teraz poznał dopiero piekące gorąco, miał wrażenie, że ciała jego dotyka się gorąca blacha, a a sznurki na nodze i ramieniu, po osunięciu się broszur, wjadły mu się w ciało.

Otarłszy kroplisty pot z czoła, siedząc chmurny, patrząc zazdrośnie, ale i z pogardą na licznych podróżnych w sali, którzy zrzuciwszy wierzchnie

Walczak spojrzął chmurny na niego i odpowiedział krótko:

— Nie trzeba... nie jest mi gorąco.

Zajął się jedzeniem, poledwica smakowała mu bardzo, ale mimo to nie opuszczał go smutne myśli. Jeśli bowiem garson dziwi się, że on siedzi we futrze, jakże łatwo inni, którzy śledzą i szpiegują podróżnych, mogą powziąć podejrzenie i wezwą go do osobistej rewizji. Na tę myśl nawet poledwica wydała mu się mniej smaczną.

Napił się zimnej wody i to go orzeźwiło, weselej spojrzął na salę, wtem wszedł podoficer żandarmski i zaczął oczyma szukać kogoś po sali, przechodząc zwolna pomiędzy stołami.

— A jeśli to mnie? — błysnęło mu — wielka historia, to posiedzę w więzieniu. Lekce oddam innemu i będzie wszystko w porządku... no, nie bardzo... mam cudze ubranie na sobie, cudze futro, cudzą czapkę i nawet nie mam jak wynagrodzić, odkupić. To cudze ubranie i futro nasunęło mu posępne uwagi nad złemi skutkami pożyczania wartościowych rzeczy.

Rozmyślając, śledził pilnie z pod oka podoficera i doznał wielkiej ulgi, widząc, jak ten zbliżył się do jednego z panów i coś mu powiedział, na co ten skinął głową i jadł dalej.

Wstąpiła weń otucha, że jednak uda mu się przemycić te książki i weselszym tonem zaczął podać drugi syfon.

Nareszcie zabrzmiał drugi dzwonek i Walczak zwolna, ostrożnie powlókł się na peron dworca. uprosił konhuktora o przedział osobny i usiadł,

— Teraz przyniesie paszport oficer żandarmski i pojedzie.

Nagle drgnął i pobladł... jakie nazwisko jest w paszporcie? jak on się nazywa? Napróżno wysilał pamięć, a przecież jeszcze w drodze zaglądał do paszportu, czytał i teraz uleciało mu zupełnie z pamięci.

Odtworzył sobie obraz, gdy czytał to nazwisko... tak, na zielonkawym tle był orzeł austriacki... lecz nie idzie o orła. Potem widział wydrukowany napis: paszport... i takie kancelaryjne pismo, które mu się podobało. Tem piśmem oznaczone było nazwisko... tak, pamięta dobrze, kończyło się na cz z punktem regularnym... czy nie wicz? Tak, na wicz, ale co przedtem, co przedtem?

Rozległ się drugi dzwonek.

Zimny pot go oblał, za chwilę przyjdą żandarmi; spojrzął przez okno wagonu, już się rozstawiają przy drzwiach... a więc jakie nazwisko?

Wicz... wicz, powtarzał, i porwała go pasja, szepnął z gniewem: no, do roboty głupi mózgu!

Już otwierają drzwi wagonu, słyszy dzwoniennie ostróg.

Zamknął oczy, niech się co chce dzieje, powie Walczakowicz... ale tam nie była początkowa litera W, tam była litera... Z.

Roześmiał się głośno, z radością, przecież on nazywa się: Jan Zarwałowicz! Tak jest... no, niech przychodzi, a w drzwiach stał oficer i z ukłonem wojskowym zapytał:

— Jak wasza familia?

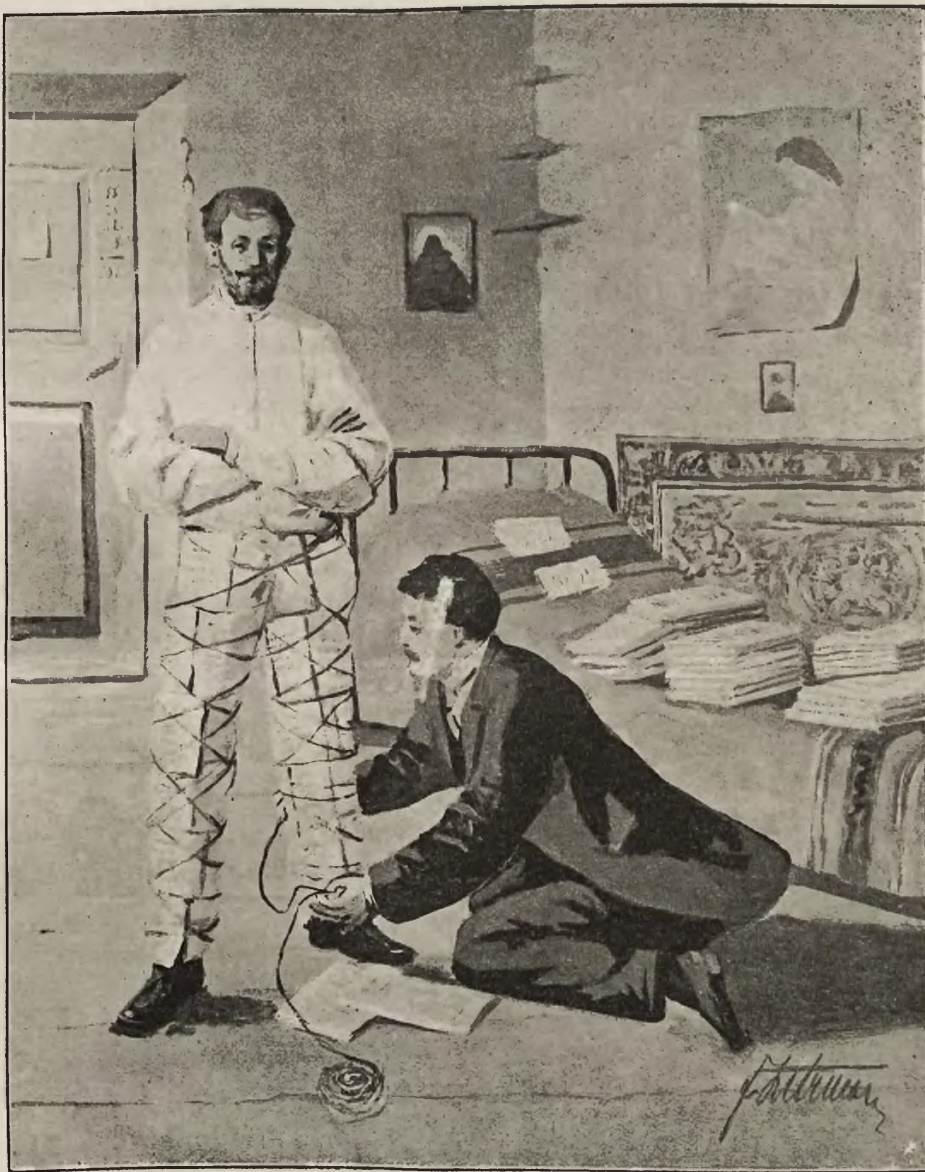
— Jan Zarwałowicz — odpowiedział głośno i po chwili miał paszport.

Przyjrzał się uważnie nazwisku i uśmiechnął się z pewną dumą, bo jednak pamiętał.

Jak tylko porąg ruszył, zasłonił okna firanką, rozebrał się i przecinając sznurki, ściągał ze siebie broszury, wtłaczając je do kufierka.

Za Zabkowicami uporządkował broszury i przygotował przeznaczoną paczkę do Częstochowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



i biorąc po kilka broszur, bandażował najpierw nogi.

ubranie, przechadzali się swobodnie, rozmawiali i jedli kolację.

Do siedzącego zbliżył się garson:

— Czy mam co podać?

Poczuł głód, gdyż od skromnego obiadu nie miał nic w ustach.

— Co macie? — spytał umyślnie dość szorstko.

Garson wymienił potrawy, a Walczak rozmyślał, która najpożywniejsza i najtańsza zarazem; miał wprowadzić pieniądze, lecz one pochodziły z kasy stronnictwa i uważał sobie za obowiązek wydać jak najmniej. Zapachła mu kielbasa z kapustą, ale miał wątpliwość, czy pan w takim wspaniałym futrze może jeść kielbasę bez zwrócenia szczególnej uwagi. O-ądził, że bezpieczniej będzie zjeść poledwicę, którą też polecił przynieść.

— Kaze pan... wino? piwo?

Osądził, że piwo smakowałoby mu nadzwyczajnie, gdy taki upał otacza jego ciało, ale oszczędność wzięła górę.

— Wodę sodową — rozporządził.

Garson po chwili przyniósł potrawę, syfon z wodą i widząc takiego pana, rzekł bardzo uprzejmie:

— Czy pomódz zdjąć futro? Będzie wygodniej, a w sali gorąco.